

Refleksje z Ukrainy, czyli nie ma jak Lwów

Orliński



Kiedy tydzień temu pisałem felieton o prawdopodobieństwie, tak naprawdę próbowałem uspokoić samego siebie. Jak śpiewali Skaldowie (do tekstu Osieckiej), „życie jest formą istnienia białka, tylko w kominie coś czasem załka”. Irracjonalne lęki nie ustępują tak łatwo, nawet gdy racjonalnie wyjaśnimy sobie ich irracjonalność.

Ja akurat ogólnie jestem osobą lękliwą, niewiele potrzebuję, by wpaść w panikę. Pisząc tamten felieton, pakowałem się zaś na wyjazd do Ukrainy.

Pocieszałem się, że prawdopodobieństwo, że akurat ja będę ofiarą rosyjskiego nalotu, jest zaniedbywalne. Więcej ryzykuję jako rowerzysta w kraju wariatów jeżdżących „szybko, ale bezpiecznie”.

Próbowałem to sobie nawet oszacować – wyszły mi co najmniej dwa rzędy wielkości różnicy. Czyli że ryzyko było kompletnie zaniedbywalne. No ale wracając do Osieckiej – „wszystko to wiemy (...), tylko gdy mysza piśnie na dachu, wtedy krzyczymy z wielkiego strachu”. To o mnie!

Nie jechałem tam jako dziennikarz (w zasadzie nie uprawiam już tego zawodu), tylko jako nauczyciel. Nasza szkoła nawiązała współpracę ze szkołą w Winnykach pod Lwowem, odwiedziliśmy ich, by omówić wspólne projekty.

Oświata to branża, w której nie można tak po prostu zawiesić interesu z powodu trudnych warunków. Wojna nie wojna, pandemia nie pandemia, trzeba zacząć kolejny rok szkolny.

Wszystko więc przebiegało w zasadzie zupełnie normalnie, tylko że co jakiś czas rozmowę przerywał nam alarm bombowy. Na początku trochę się baliśmy, ale nasi rozmówcy spoglądali wtedy na telefony i mówili, że „to tylko wystartowały migi-31 przenoszące kindżały, na razie nie ma się czym przejmować”.

Pierwszym punktem naszej wizyty był udział w obchodach Dnia Niepodległości Ukrainy. Spodziewaliśmy się, że Rosjanie będą chcieli dołączyć do tych obchodów intensywnymi nalotami, ale z jakiegoś powodu tak się nie stało – może mieli za duży bałagan w związku z zamachem na Prigożyna.

Na wszelki wypadek zaznaczę, że nasza delegacja nie miała z nim nic wspólnego. To, że nastąpił zaraz po tym, jak przekroczyliśmy granicę, to zwykły zbieg okoliczności!

Przypadł mi zaszczyt wygłoszenia przemówienia podczas obchodów Dnia Niepodległości w Winnykach. W normalnych warunkach unikam takich obchodów, ogólnie

nie lubię wielkich słów i wielkich spraw.

Jestem zwolennikiem tezy, że patriotyzm polega na tym, że się płaci podatki i segreguje śmieci. Tylko że to jest definicja na czas pokoju.

Chciałem wygłosić przemówienie wyważone i zniuansowane. Naszykowałem sobie cytaty z Giedroycia, Kuronia i Osadczuka, bo ci autorzy ukształtowali moje myślenie o sprawach polsko-ukraińskich (nie tylko moje zresztą).

Kiedy jednak na miejscu uroczystości zobaczyłem tablicę poległych z miejscowości Winnyki, a jeszcze koleżanka nauczycielka mi szepnęła, że jest na niej zdjęcie szkolnej pani sekretarki – rozkleiłem się emocjonalnie.

Przemawiałem „od serca”, a nie „z głowy”. Tak wzruszony, że nie pamiętam, co właściwie mówiłem (ale mam nadzieję, że Giedroyc nie przewracał się w grobie).

Powiedziałem mniej więcej coś takiego, że ci bohaterowie zginęli nie tylko za wolność Ukrainy, ale także za wolność całej Europy. Bo rzeczywiście głęboko w to wierzę.

Zginęli za nasze prawo do uprawiania pokojowego patriotyzmu, właśnie za to spokojne „segregowanie śmieci i płacenie podatków”. Za to, że mogę sobie pisać felietony, o czym chcę, a państwo mogą je czytać – albo nie. Przymusu nie ma, „musi to na Rusi”.

Zginęli za nasze wegetariańskie knajpy, za ścieżki rowerowe, za kawiarniane ogródki pełne młodzieży, za chrupiące bułeczki prosto z piekarni i za to, że u nas nie idzie się do więzienia za nazwanie prezydenta „debilem”. Tego wszystkiego nie ma tam, dokąd dotarł „ruski mir”.

Jak przystało na delegację, wieczorem poszliśmy do przepięknej lwowskiej opery. Przed spektaklem uprzedzono nas, że w razie alarmu przedstawienie zostanie przerwane, ale jeśli alarm potrwa krócej niż godzinę, zostanie wznowione. Wieczornego alarmu tego dnia jednak już nie było.

Przypomnił mi się wtedy film z YouTube’a, który jest dla mnie jednym z symboli tej wojny. Na samym jej początku uliczny pianista (potem się dowiedziałem, że nazywa się Alex Karpenko, ale występuje jako Alex Pian) grał dla uchodźców na lwowskim dworcu temat Hansa Zimmera „Time” z filmu „Incepcja”.

W tle słyhać syreny, ale on nie przestaje grać. To wymagało wtedy nieporównanie więcej odwagi niż dziś.

Pomyślałem, że Rosja też ma piękne budynki oper i filharmonii, ale nie ma takich grajków jak Alex. A to przecież oni są sercem kultury.

We Lwowie łatwo poczuć, że dla Ukraińców wolność nie jest abstrakcyjnym pojęciem filozoficznym. Jest czymś, czym żyją i oddychają.

Dlatego głęboko wierzę w ich wygraną. Armia okupantów motywowanych talonem na ładę i szansą na kradzież pralki nie pokona ludzi broniących wolności.

Wojciech Orliński